



ARTUR GRUSZECKI POD CZERWONYM WIRCHEM

8

— Tak, te ptysie były wcale dobre i przywozłem kilka dla ciebie, Wandziu.

— Dziękuję, ale wiesz, że ciastek nie lubię.
— O, mąż kuzynki jest bardzo dobry, — upewniała Łacka, — ciągle wspominał kuzynkę.

Rozmawiając o szczegółach tej wycieczki, weszli do hali. Panie poszły się przebrać, pani Wanda zaś zdjęła futerko, polecając służącemu zanieść je do jej pokoju.

— Jakto? Nie przebierzesz się Wandziu do kolacy?

— Nie.

Mąż obejrzał jej skromną, czarną suknię i rzekł:

— Dlaczego nie zmienisz sukni? Wczoraj one były postrojone... wypada przecież, stać cię na to.

— Jestem zmęczona.

— Ależ to sensu nie ma, — gniewał się, — tu nie klasztor, a ty nie zakonnica.

— Proszę cię, zostaw mi wybór sukni przynajmniej!

— Czy nie rozumiesz, że ubierając się jak kopciuszek, kompromitujesz i mnie? Ludzie pomyślą, że ci skąpie, że nie dbam o ciebie.

— Co ludzie pomyślą, nie wiem, ale że wyprawianie takich scen o moje własne suknie nie ma sensu, to chyba i ty zrozumiesz, — szła w kierunku salonu.

— Z tobą trzeba naprawdę mieć cierpliwość anielską, — powiedział z głuchym gniewem, — czy klucz jest na górze?

— Przypuszczam, że jest. Masz swój pokój, a służący przeniósł twe rzeczy.

Spojrzał na nią niemal nienawistnie i nic nie mówiąc, poszedł na górę.

Ona, usiadłszy w kącie wielkiego salonu, oświetlonego żyrandolem elektrycznym, rozmyślała z żalem, że nigdy nie wyzdrowieje. Czuła się tak dobrze po tym spacerze, a on popsuł jej nietylko przyjemne wrażenie, ale ją zdenerwował, rozdrażnił i czuje powracającą niemoc. Siedziała w rogu kanapki, smutna i przygnębiona, podobna do ptaka postrzelonego.

Zbliżyła się pani Porecka i stosownie do etykiety, obowiązującej w zakładzie osoby dobrze wychowane, spytała z łaskawym współczuciem:

— Jakże pani się czuje po spacerze?

— Dziękuję, — zmusiła się do uprzejmości, — czy pani była na wycieczce?

Pani Porecka spojrzała na nią niemile zdziwiona, że jest osoba z towarzystwa w zakładzie, która nie wie, co ona dziś robiła, i odrzekła chłodno:

— Byłam... bo my, ja i córka, nie lubimy się wyróżniać, zawsze staramy się o harmonię towarzyską, która jest podstawą życia i szczęścia.

Wygłosiwszy uroczyste to zdanie, spojrzała na panią Wandę wyczekująco. Pani Wanda odczuła wprawdzie pocisk za swe usunięcie się od wycieczki, ale tak była zajęta swymi smutkami, że nie myślała się odciąć i powiedziała obojętnie:

— Harmonia jest piękna, podzielam zdanie pani.

Pani Porecka, która spodziewała się jakiegoś protestu, ukłócia, uczuła się dotknięta obojętną odpowiedzią, uważając ją za rodzaj lekceważenia; z miną pełną godności i z uśmiechem zawsze łaskawym, powiedziała słodko:

— Czy nie zauważyła pani, że jest wiele

osób, które głoszą wzniosłe zasady, ale nie stosują ich w życiu, jest to udawanie, powiedziałabym w złym tonie, bo czyż nie lepiej nie mówić o swych zasadach, aniżeli postępować odwrotnie. Jak pani uważa?

Pani Wanda otrząsnęła się ze swej apatii, a zrozumiałwszy słodką truciznę słów, powiedziała uprzejmie:

— Pani ma zupełną słuszność, utarte drogi, z utartymi drogowskazami są najwygodniejsze, — uśmiechnęła się z leciutką ironią.

— Ależ my nie o drogach mówiliśmy, lecz o zasadach, — zawołała pani Porecka lekko zdziwiona.

— Ach, bardzo przepraszam, — usprawiedliwiała się z niewinną miną, — to moja wina... Dużo jest osób w tym zakładzie?

— Dokładnie nie wiem, liczba się zmienia, w każdym razie sto, może więcej, ale rozumie pani, że żyje się w swoim kółku.

— No... zapewne, trudno żyć bliżej ze setką osób... zna się sąsiadów stołu, bardziej sympatycznych...

— Nie rozumiemy się i nic dziwnego, pani młoda, ja starsza, — westchnęła leciutko, — a młodzi wdają się z byle kim, zaś ja ze starszej daty, moja zasada: swój ze swoim. Słyszałam ja, że u was w Królestwie inaczej. Szlachta, przemysłowcy, kupcy, wszystko zmieszane, ale u nas na Podolu, chwała Bogu, do tego nie doszło. My trzymamy się doświadczonej rady gospodarskiej: czyste ziarno posiejesz, czyste zbierzesz.

— Każda zasada jest dobra, — uśmiechnęła się pani Wanda.

— O, przepraszam, — zaczęła pani Porecka, lecz nie miała czasu skończyć, gdyż do siedzących pań podeszła pani Mniewska i z uśmiechem wesołym zaczęła:

— Dziś będziemy mieli koncert.

— Jaki? — ożywiła się Porecka.

— Panna Mira będzie popisywała się na fortepianie... a pan Jedliński będzie śpiewał.

— Czy już wrócił?

— Spotkałam doktora przed chwilą i mówił mi, że na cześć nowych gości zaśpiewa pan Jedliński.

— Czy ma ładny głos? — spytała pani Wanda.

— Dla mnie bardzo dźwięczny, — chwaliła pani Porecka z powagą.

— Zwykły, amatorski baryton, — powiedziała pani Mniewska, — ale na bezrybiu dobry i taki.

— Za surowa krytyka, — upomniała pani Porecka, — to dobrze wychowany i dystygowany człowiek.

— Podobno tańce będą, — opowiadała dalej pani Mniewska.

— Tańce!? — spojrzała na strojną suknię pani Mniewskiej i po chwili spytała: — nie widziała pani Madzi?

— Córka pani spaceruje w hali z panem Szarockim.

— O, pewno ją zanudza swoją poezją, — uśmiechnęła się z łaskawą wyrozumiałością, — pójdę ją uwolnić.

Pani Mniewska przysunęła się bliżej pani Wandy i zaczęła wesoło:

— Wiedziałaś, że pani Porecka pospieszy zaraz, ażeby córka wzięła suknię inną, bo bę-

dzie śpiewał pan Jedliński, — zaśmiała się ci-chutko z miną psotnego dziecka.

— A może to tylko z powodu tańców, — usprawiedliwiała pani Wanda.

— Tańce!? Mój Boże, kto tu tańczy? Jest może razem wzięwszy ośmiu, może dziewięciu tancerzy... zobaczy pani sama. A pani lubi tańczyć?

— Dawniej tak, teraz męczą mnie tańce.

— Ubywa nam rywalka, — zaśmiała się, — bo wie pani, z braku mężczyzn, rodzą się tu małe ambicjki, a taki pan Jedliński, któryby na balu publicznym zginął w tłumie mężczyzn, tu jest pożądany, ceniony i dla pańien upragniony nawet na męża..., a żeby pani widziała, jakie zabawne są te starania mam i pańien o niego, — śmiała się wesoło, w poczuciu swej wyższości jako mężatki, lekceważącej podobne zabiegi.

Panią Wandę zaczęły bawić te ploteczki i spytała:

— A cóż on na to?

— On?... Jest jeszcze dosyć skromny wobec okazywanych względów, a może tylko ostrożny.

— Czy pani Łacka także łaskawa na niego?

— Dosyć... zobaczy pani sama.

Salon począł się zapelniać strojnymi pannami i paniami. Panny i młode mężatki w strojach wizytowych, z kwiatami we włosach, przy stole, lub w ręku, wszystkie ożywione, wesołe, z błyszczącymi oczyma, zostawiając starsze panie na fotelach i kanapkach, spacerowały małymi grupami, rozmawiając gwarnie, wesoło, swobodnie. Wśród tych barwnych strojów kręciło się trochę mężczyzn młodszych i starszych, przechodząc od grupy do grupy, z uśmiechem stereotypowej grzeczności i zdawkowych frazesów. Zdawało się, że wśród licznych, pięknych kwiatów uwijają się czarne, niezgrabne baki, wysysając miód ze spojrzeń, uśmiechów, półsłówek.

Nadszedł pan Jerzycki, wyświeżony, w smokingu, z kwiatkiem w butonierce i natychmiast został otoczony przez panie. Pani Wanda, siedząca na kanapce w rogu salonu, widziała jego ukłony, uśmiechy, odpowiedzi, uściski rąk, a pani Mniewska szepnęła z uśmiechem:

— Mąż pani ma powodzenie.

— Nic dziwnego, lubi zabawę i towarzystwo, — powiedziała obojętnie.

— Tu będzie w swym żywiole i pani musi być szczęśliwa mając takiego męża.

Pani Wanda stłumiła westchnienie i zadowolona się skinieniem głowy.

— Widzi pani tę brunetkę, w sukni ubranej jastrunami... To pani Łotuska, ona ma lat dwadzieścia, a mąż, który ją tu przywiózł przed tygodniem, co najmniej pięćdziesiąt. Cóż dziwnego, że ona choruje.

— Taka młoda, ładna... co jej brakuje? — spytała ze współczuciem.

— Jakież płucne cierpienie, mówił doktor, ale moim zdaniem, — zaśmiała się, — ona choruje na starego męża... O, jest i pan Jedliński!

— Który to?

— Ten brunet... ma żółty kwiatek w butonierce... zapewne przez sympatię dla pani Łotuskiej...

Jedliński witał się z paniami i panami, to uściskiem ręki, to słowami, uśmiechem, spojrzeniem; czuć w nim było pewność siebie, a przy rozdaniu powitań pewną miarę i wstrzemięźli-